

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

7

— Niema tu co wyjaśniać. Henryk Klawering mieszka, jak już mówiłem, w Hofman-House. Nie jest on tutejszy, lecz zna całe miasto; bawi się, chodzi na spacer, jeździ powozem, u nikogo jednak w domu nie bywa, jest wielkim wielbicielem dam, lecz do żadnej z nich nigdy nie podchodzi — jednym słowem jest to człowiek, z którym warto się poznać, lecz ja osobiście nie mogę zawiązać z nim znajomości.

— I pan chciałby?... —

— Byłaby to doskonała znajomość dla młodego, zdolnego adwokata z dobrej rodziny. Jestem przekonany, że człowiek ten wart jest tego, by się z nim poznać.

— Lecz...

— Niech pan nawet wprowadzi go do swej rodziny, niech pan postara się pozyskać jego zaufanie...

— Panie Grys — zawołałem żywo — nigdy nie zgodzę się na zdobywanie cudzej ufności, by potem wydać go w ręce policji.

— Lecz w pańskim interesie leży poznać się z panem Klaweringiem!

— Więc to tak! — odezwałem się, zaczynając domyślać się wszystkiego. — Więc człowiek ten jest w pewnej styczności z naszą sprawą?

— Niech pan mnie posłucha — rzekł znowu Grys — nie sądzę, aby pan musiał zdradzić go, jak pan myśli; bardzo możliwe, że wszystko ograniczy się tylko na znajomości z nim. Czy pan ma cośkolwiek przeciw zawarciu stosunków z tym jegomościem?

— Nic.

— A nie ma pan także nic przeciw temu, by porozmawiać z nim, jeżeli się będzie panu podobać?

I tym razem odpowiedziałem „nie“, lecz już mniej pewnie — wstrętą mi była ta rola towarzyskiego szpiega, jaką usiłowano mi w danej chwili narzucić.

— Wobec tego radzę panu przenieść się zaraz do Hofman-House.

— Nie uważam, by było to tak konieczne, zwłaszcza, iż widziałem się z tym człowiekiem i rozmawiałem z nim.

— Gdzie?

— Niech mi pan naprzód opisz jego wygląd. — Jest on wysoki i zgrabny, trzyma się prosto, minę ma dość dumną, twarz małą, cerę i włosy ciemne, przenikliwy wzrok i eleganckie ruchy — naogół sprawia bardzo dodatnie wrażenie.

— Zdaje się, że go widział — odparłem i w kilku słowach opowiedziałem, gdzie i kiedy go spotkałem.

— Więc to tak! — szepnął Grys — widocznie i on panem się interesuje, jak pan nim. Szkoda, że pan rozmawiał już z nim, bardzo możliwe, że i on już wyrobił sobie o panu niekorzystne zdanie, a nam bardzo przecie na tem zależy, by nie miał do pana żadnej niechęci.

Wtedy i przeszedł się po pokoju.

— Usimy postępować bardzo ostrożnie — mówił po krótkim milczeniu. — Niech pan pójdzie do czytelnicy w Hofman-House i okaże się takim, jakim pan jest w rzeczywistości; może panu uda się wszcząć z kim rozmowę — a reszta zrobi się już sama.

— A jeżeli ja się mylę i człowiek ten, o którym mówiłem, nie nazywa się Klawering?

— Przyznam się, że bardzo by mnie to zdziwiło — odparł agent.

— Panie Grys — mówiłem dalej, by okazać mu, że nie zapominałem o głównym celu mej wizyty — muszę porozmawiać z panem jeszcze o jednej osobie.

— Naprawdę? — zapytał i zwrócił się ku mnie — któż to być może?

— Któż, jeżeli nie... — zawahałem się; czy miałem moralne prawo wspominać tu o człowieku, przeciw któremu nie było absolutnie żadnych poślak? — Przepraszam — rzekłem — lepiej może będzie, jeżeli nie wymienię jego nazwiska.

— Herve! — rzekł mimochodem.

Zarumieniłem się cały — poznałem, że zgadł.

— Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy porozmawiać o nim; jak pan sądzi, czy prawdę mówił na śledztwie.

— Nikt nie zbliżył jego zeznań — odpowiedziałem. — Jest to dziwny człowiek.

— Lecz i ja jestem dziwny człowiek — zauważył spokojnie Grys.

Obraziłem się i czując, że w danej chwili nie ja jestem górą, wziąłem kapelusz i chciałem wyjść; przypomniała mi się jednak Dżen i zapytałem jeszcze o nią.

Wahał się, czy być ze mną szczerym, czy nie, wreszcie zawołał:

— Zdaje mi się, że w sprawę tę wmieszał się sam czort. Ileśmy się jej naszukali, a mimo to nie znaleźliśmy najmniejszego jej śladu: jakby w ziemię się zapadła. Nie zdziwię się, gdy usłyszę, że wyciągnięto ją z rzeki lub z jakiego rowu, albo piwnicy.

— Wszystko zależy od zeznań tej dziewczyny — dodałem.

— Co mówi o tem miss Eleonora?

— Ze ta dziewczyna nic nie może jej pomóc.

Nie zdziwił się wcale, lecz rzekł:

— Trzeba ją odszukać koniecznie, choćby przyszło wysłać w pole „Czuły węch“.

— Kto to jest?

— Jest to jeden z mych agentów — nazwaliśmy go tak za niezwykle istotnie węch. Ale, panie Rymond, gdy testament zostanie otwarty, niech pan przyjdzie do mnie.

— Testament! Zupełnie zapomniałem o nim.

XIV.

Henryk Klawering.

Byłem na pogrzebie pana Lavenforta, nie udało mi się jednak ani przed, ani po ceremonii zamienić choć kilku słów z pannami. Rozmawiałem natomiast z Hervelem, który choć nic nowego mi nie powiedział, dał mi za to wiele do myślenia. Zaraz po pogrzebie podszedł ku mnie i zapytał, czy czytałem notatkę w gazecie o Eleonorze Lavenfort. Odpowiedziałem twierdząco i zarazem wyraziłem zdziwienie, jak taki artykuł mógł się ukazać w dzienniku.

Słowa jego zdumiały mnie:

— Sumienie zawsze zmusi winowajcę do zdradzenia się wcześniej czy później — rzekł zupełnie spokojnie.

Uwaga ta, uczyniona przez człowieka, który twierdził, iż absolutnie nie wie, kto może być zabójcą, bardzo mnie zastanowiła. Chętnie prowadziłbym dalej rozmowę, sekretarz jednak nie odznaczał się mównością i szybko pożegnał mnie. Postanowiłem jak najprędzej zapoznać się z Henrykiem Klaweringiem; może on będzie mógł udzielić mi jakich szczegółów o obu pannach.

Tegoż dnia wieczorem dostałem wiadomość od pana Beleya; pisał mi, że powrócił już, lecz czuje się tak chorym, iż nie jest w stanie rozmawiać o śmierci Lavenforta. Otrzymałem także kilka wierszy od miss Eleonory — podawała mi swój nowy adres, lecz prosiła tylko o przyście w tym wypadku, gdyby stało się coś ważnego, jest bowiem chora i ciężko jej przyjmować wizyty. Zasmuciło mnie to bardzo. Chora... sama w obcym domu, jakże jej przykro być musi!

Idąc za radą Grysa, udałem się następnego dnia do Hofman-House i usiadłem w czytelnicy. Nie zdążyłem jeszcze przeczytać kilku wierszy, gdy wszedł ten, na kogo czekałem. I on zapewne przypomniał sobie nasze spotkanie na ulicy, zmieszał się bowiem trochę, lecz zaraz opanował się, wziął gazetę i pograżył się w czytaniu. Czulem jednak mimo to, że jego ciemne, piękne oczy wpatrują się we mnie, jak gdyby chciały zapamiętać najdrobniejszy rys mej twarzy; uczucie to było bardzo niemiłe i uciążliwe. Ponieważ moje przypatrywanie się mu byłoby bardzo nieroztropnem, wstałem i podszedłem do swego starego przyjaciela, który siedział w pobliżu mnie; zacząłem rozmawiać z nim i wkrótce nadarzyła mi się sposobność rozpytać go o nieznanego, który mnie interesował. Dik Ferbiż był w najrozmaitszych towarzystwach i znał prawie wszystkich.

— Nazywa się Klawering — rzekł mi — i mieszka w Londynie; nic więcej o nim nie wiem, chociaż spotykam go wszędzie, tylko nie w prywatnych domach. Jeszcze nie jest przyjęty do towarzystwa — zapewne nie ma do nikogo polecających listów.

— Czy to człowiek wykształcony?

— Bez wątpienia.

— Zna go pan?

— Bardzo mało, zamieniamy nieraz przy spotkaniu kilka słów, lecz nic więcej.

Wkrótce pożegnałem się ze swym znajomym i wyszedłem. Na ulicy opanowały mnie różne wątpliwości. Jak mógł ten jegomość, u nikogo nie bywający, być zamieszany do sprawy, która mnie tak zajmowała? Po raz pierwszy dopiero zacząłem powątpiewać o przenikliwości Grysa, który zwrócił

mi na niego uwagę. Następnego dnia powtórzyłem ten sam manewr, z podobnym jednak rezultatem. Klawering był w czytelnicy, lecz natychmiast po ujrzeniu mnie wyszedł; domyśliłem się z tego, że nie tak łatwo zawrzeć z nim znajomość, jak mi się to zdawało. Aby wynagrodzić sobie to niepowodzenie, poszedłem wieczorem z odwiedzinami do Mary Lavenfort. Miss Mary przyjęła mnie z wielką serdecznością. Przedstawiła mi jakieś starszej damie, która zamieszkała w jej domu w charakterze towarzyski i odezwała się zaraz.

— Pan napewno przyszedł mnie uwiadomić, że wreszcie znaleziono Dżen?

— Nie, jeszcze jej nie znaleziono — odparłem zasmucony tem, iż nie mogę jej ucieszyć podobną wieścią.

— Lecz tutaj był pan Grys i mówił, że spodziewa się znaleźć ją w krótkim czasie.

— Pan Grys był tutaj?

— Przyszedł nas powiadomić, jak stoi cała sprawa. Niestety, posuwa się ona naprzód bardzo wolno — dodała ze smutkiem.

— Pani za prędko poddaje się przygnębieniu, trzeba poczekać cierpliwie — rzekłem.

— Cóż ja mam począć: każdy dzień, każda godzina tej niepewności działa na mnie ujemnie. Gotowa jestem wszystko uczynić, przeszukać każdy kątek... Ja bym...

— Coby pani zrobiła? — zapytałem, gdyż naraż przerwała swe zdanie.

— Nie wiem — odparła zmieszana; — bardzo możliwe, że jaby nic nie zrobiła.

I zanim zdążyłem odpowiedzieć, odezwała się znowu:

— Pan widział dzisiaj Eleonorę?

Kiwnąłem przecząco głową.

Widocznie nie zadowolili się tem, gdyż natychmiast po wyjściu swej towarzyski z pokoju, zapytała mnie poważnie, co myślę o stanie zdrowia Eleonory.

— Zdaje mi się, że zdrowie jej pogorszyło się — rzekłem.

— Bardzo mi przykro, że nie jestem razem z Eleonorą — szepnęła, a widząc me niedowierzające wejście, dodała: — Ja pierwsza istotnie nastawałam na to, iż musimy się rozjechać, lecz mimo to ja bardzo cierpię z powodu tego rozłączenia.

— Z pewnością niemniej, niż pani kuzynka — zauważyłem.

— Tak pan sądzi? Może dlatego, iż znajduje się w daleko gorszych warunkach materyalnych, niż ja? Lecz niech mi pan wierzy, iż bardzo czułym się szczęśliwą, gdybym mogła skłonić Eleonorę do przyjęcia połowy mego majątku; boję się jednak, iż ona nigdy nie zgodzi się na to.

— W obecnych warunkach jest to najmańdrzej z tego, co może teraz uczynić.

— Owszem — odparła Mary — ja jednak cieszyłabym się z tego bardzo. Majątek ten, który spadł na mnie obecnie, poprostu przygniata mnie. Dzisiaj po przeczytaniu testamentu, który uczynił mnie prawie milionerką, miałam wrażenie, że narzucano na mnie ciężki, zbрызany krwią śmiertelny całun. Niegłysz oczekiwałam dnia tego z zupełnie innem uczuciem. Było to bez wątpienia złem z mej strony, lecz ja istotnie czekałam na tę chwilę, byłam bowiem bardzo rozpieszczona i pieniądze dla mnie znaczyły wszystko. Gdy dwanaście lat temu stryj mnie ucałował i rzekł: „Ty, moje dziecko, będziesz moją spadkobierczynią“ — położenie me w tym domu odrazu zmieniło się. Dogadzano mi, nazywano małą księżniczką, ulubienicą stryja; można się dziwić, że dotychczas nie stałam się zupełną egoistką. Mimo to, ja wtedy już rozumiałam, że to tylko kaprys ze strony stryja i że to jest niesprawiedliwością względem Eleonory, która jeżeli nie lepszą, to nie była i gorszą ode mnie.

Zamilkła na chwilę i z trudem powstrzymała płacz, jednocześnie jednak spoglądała na mnie ukradkiem, potem mówiła dalej swym cichym, dźwięcznym głosem.

— Wiem, że we mnie jest wiele niedostatków, można je jednak wytłómaczyć, gdyż wszystko przebaczało się młodej i szczęśliwej spadkobierczyni. Nigdy nikt nie sprzeciwiał mi się i nie ganił mego postępowania. I teraz oto, gdy te wszystkie pieniądze, o których tak marzyłam, należą do mnie, gotowa jestem oddać je, jeżeliby... zresztą ja nie mam prawa zajmować pana wylewami swych uczuć. Niech pan zapomni o tem, o czem mówiłam, a pamięta tylko o tem, iż jestem nieszczęśliwą, sama i opuszczoną.

— Nie, wcale nie chcę zapomnieć tego, co pani mówiła. Z słów pani widzę, iż majątek pana Lavenforta dostał się w ręce takiej osoby, która będzie umiała użyć go odpowiednio.